

J. BRAUN.

## „DEMON FILMU“

19

Rychło pozostał w tyle, aż zmylił kierunek przy niebezpiecznym wymijaniu skotłowanych na rozstaju ulic wozów i stracił zupełnie z oczu umykającą maszynę.

Mac kłął, jak dragon i rwał włosy z głowy.

— Jeszcze raz dał nura ten wcielony szatan!!!

Kazał zawrócić i pojechał ponury, z nosem na kwintę, jak lampart, któremu nie dopisało „powodzenie w łowach“.

## ROZDZIAŁ XVII.

## Sabat stolicy.

„Demon spłonął.“

Ponury, tytaniczny wstrząs targnął dwudziestomiljonową stolicą. Z ust do ust szła wieść straszliwa, depesze rozniosły ją, roztrąbiły po wszystkich częściach świata. Stacje radiotelegraficzne funkcjonowały bez przerwy.

Zapytywano z Paryża, interpelowano z Rzymu, naglono z San Francisco.

Dnia tego szpalty tysiąca dzienników roiły się od opisów tej katastrofy. Gruchnęły znów alarmy, znów posypały się oskarżenia i ostre inwektywy pod adresem policji, która wbrew „opinji“ odważyła się działać i terroryzować stolicę.

— Supremacja kasty! Samowola despotycznych kacyków reakcyjnych! — krzyczały pisma codzienne. — Trzeba raz skończyć z konspiracyjnym knowaniem uzurpatorskich jednostek działających poza plecami samorządu. Prosimy panów posłów o zabranie głosu w tej sprawie. Parlament ma głos!!!

Parlament ma głos! — grzmiały na ulicach podniecone tłumy.

Ale parlament milczał. Czuł się winnym, bo na ostatnich zebraniach pewnych klubów uchwalono sankcjonować milczącą kampanję Wielkiego Detektywa. Borghe zatryumfował wreszcie. Stronnictwo jego przeforsowało dla niego „carte blanche“ na wszystko, cokolwiek uzna za stosowne przedsięwziąć dla uwolnienia stolicy od dręczącej zmy.

Dzienniki tokowały coraz zawzięciej. Zaciętrzewiano się. Ludzie skakali sobie z pięściami do oczu. Oskarżono policję o rozmyślne podpalenie kinoteatru w celu zupełnego zgładzenia go z powierzchni ziemi.

Lady Aladin krzyczała najgłośniej. W salonach jej spotykali się ludzie wpływowi i znaczni, redaktorowie wielkich wydawnictw i zapalczywi dyplomaci wiodli prym na jej orgjastycznych seansach. Podburzała ich, parła do energicznych wystąpień, przebiegle podżęgała i podtrzymywała akcję obronnej kampanji na rzecz Blanka.

— Zgwałcono was — unosiła się. — Wolnych obywateli zgromadzonych w przybytku prawnie dozwolonych widowisk wyrzucono poprostu na ulicę. Kpiąc sobie z najprymitywniejszych zasad przyzwoitości. Podłożono ogień pod gmach, by zburzyć teatr, nie oglądając się na skutki tych bezwzględnie brutalnych metod postępowania. Rzucono tłum na pastwę paniki!!!... To okropne!!!

Redaktorzy kiwali głowami i wydawali okrzyki świętego oburzenia...

— Panowie! Pomyślcie tylko! Cztery tysiące osób stłoczonych we wnętrzu tego gmachu... I znajdują się ludzie, którzy mają czelność i niesumienne odwagę wywołać pożar. Ależ to jeszcze cud, że obeszło się bez większych ofiar w ludziach. To cud, że pod gruzami walącego się teatru nie zagrzebano setek niewinnych ofiar. Że służba dyrektora Blanka okazała tyle przytomności umysłu... Że dzięki momentalnemu otwarciu wszystkich możliwych przejść strumień ludzki mógł odoływać dość szybko z gmachu. Gdyby nie to — strach pomyśleć! Byłam tam przecież, był tam i niejeden z panów zapewne. Przewrócono mnie, pokaleczono, podarto na mnie suknie. Ludzie popadali w szal ze strachu... I doprawdy, gdy sobie uzmyslałam, co by się tam działo, gdyby ogień zamknął odwrót tym rzeszom, zwłaszcza uciekającym z górnych pięter — włosy mi dębem stają na głowie!...

Redaktorowie pisali wszystko w notesach...

Pogłoska, jakoby to sama policja zaproszyła ogień w kinie wszere i wzdłuż obiegała całą stolicę znajdując przeważnie wiarę. Ludzie osłupieli ze zgrozy, a ochłonawszy rzucili się, jak wściekłe psy na władzę. Policjantów lżono na posterunkach. Przechodzące w ostrym pogotowiu patrolu obrzucano kamieniami i gradem wyzwisk. Przed gmachem, gdzie urzędował Borghe tłuszcza urządzała hałaśliwe demonstracje. Raz, omal, że nie przyszło do rozlewu krwi i tylko przytomności umysłu Wielkiego Detektywa i jego funkcjonariuszy należało zawdzięczać opanowanie groźnej sytuacji...

Ale Borghe nie dał się zastraszyć.

Litował się nad tem biednym, ogłupionem przez fatalny obłęd ludzkim stadem.

— Czyń dobrze, a oplują cię żółcią i jadem — myślał rozgoryczony i smutny, ale im większe wyrastały przed nim trudności, im większe brzemie oszczerstw, kalumnji i nienawiści ludzkiej dźwigał na swoich barkach, tem więcej utwierdzał się w swych zamiarach, tem sprężysiej prostował się

i olbrzymiał, tem zacieklej zaciętrzewiał się w pracy dla niedzięcznych współziomków.

— Zbrodniarzy zgładzić. Chwasty wyciąć, zgniliznę wypalić rozpalonem żelazem, głupotę wypędzić batem — szeptał przez zaciśnięte zęby ze strasliwym ogniem w oczach.

— Mac, nie ustąpimy! — rzekł do głównego ajenta, zachwyconego stanowczością i bezwzględnością szefa.

— Nie ustąpimy — huknął tamten w głos.

— Jutro obsadysz atelier. Działaj ostrożnie, a szybko, Daxa musimy mieć nareszcie w ręku. Jeżeli nie przymkniemy go jutro w atelier, zbombardujemy statek. Dość już kunktorstwa, ociągania się i zwlekań. Rana zajątrzyła się...

Stuknął się palcem w czoło..

— Ah, byłbym zapomniiał..

Zadzwoń!

— Halloo.

— Kto mówi?

— Tutaj Borghe.

— Djana Storm.

— A, doskonale... mam dla pani upragnioną z dawna wiadomość...

— Więc już?

— Jutro!

— Kto prowadzi?

— Pan Mac Sterling.

— Mogę iść razem z nim?

— Właśnie z tą myślą daję znać o wyprawie. Ale...

— Co za „ale“?

— Proszę rozważyć wszelkie ewentualności...

— Nie istnieją takie, któreby mnie mogły powstrzymać.

— Mogą stawiać opór.

— Kto — aktorzy?

— Nie. Dax, jego szajka, służba, robotnicy...

— Furda. Nie boję się.

— Winszuję odwagi.

— Więc jutro?... Będę u pana. O której?

— Szósta wieczór... Atak nastąpi o dziewiątej

— Do widzenia.. Będę napewno...

— Do widzenia..

Zwrócił się do ajenta

— Mac! Pani Storm pójdzie z wami Ale... no wiesz..

— Rozumiem. Niebezpieczeństwo..

— Tak. Czuwaj nad nią. Ta kobieta przysłużyła się nam bardzo..

— Patrząc na nią nigdybym był nie przypuścił takiej energii, siły woli i odwagi... To przecież tak delikatne stworzenie...

— Masz rację. I mnie to zdumiewa Ale dość! Do dzieła!! Jutro o szóstej u mnie.

Mac skłonił się i wyszedł.

Kości były rzucone. Gra toczyła się już o największą stawkę. Dwie druzgocące siły, dwaj potentaci ducha starli się z sobą prawie pierś o pierś. Jeden miał za sobą szlachetny zapal i prawo, drugi niepohamowaną ambicję i siłę rozbójniczej mafji, jeden miał poza sobą zorganizowany aparat nowoczesnej służby bezpieczeństwa, drugi wzburzone, zahypnotyzowane masy, swój djabelski spryt i straceńczą zuchwałość awanturnika. Siły równe prawie.

Zwycięstwo mogło się przechylić na jedną, lub na drugą stronę — ale szanse Borghe'a zwiększał jego rozmach i brutalność czynu, nie licząca się z niczem. Tłum mógł się rozwiać, jak chmura pod uderzeniem wichru i Dax pozostałby wtedy sam ze swoją garstką, jak na straconym szaniecu w obliczu miażdżącej maszyny sprawiedliwości społecznej. Olbrzymi walec ruszył, młot zawisnął na moment ponad kowadłem.

A był już zwiiste czas najwyższy...

Straszliwe dzieło „Demona“ poczęło wydawać owoce tak potworne, tak groźne w swej trucielskiej potędze, że trzęswo patrzący, uczciwi obywatele chwytały się za głowę na widok tej tragedji w porywie rozpacz,

„Sabat czarownic i demonów“ — oto, jak można było określić to, co się obecnie działo w stolicy. Po pożarze kina szal wzrósł jeszcze. Obłęd przybrał zatrważające rozmiary.

Ludzie pozbawieni dotychczasowych dawek narkotyku, wyrwani nagle z trybów i szpon hypnozy potracili głowy i instynktownie, by zagłuszyć wściekły alarm natogu rzucili się w wir jeszcze dzikszych bacchanalji i zbrodni.

Atmosfera stała się duszna i niemożliwa do zniesienia. W tych paru dniach, które nastąpiły po zniszczeniu „Demona“ wyładował się cały, kolosalny nabój elektryczności nagromadzonej w mózgach i nerwach ludzkich.

Kto odważył się, jak Dante rozpocząć wędrówkę po tem „piekle na ziemi“ ujrzałby rzeczy potworne i mroźące krew w żyłach.

Zakażeni owym tajemniczym obłędem zgangrenowali wszystko i wszystkich, sami wyuzdani i zbrodniczy. Nieogarnięci chorobą żyli w ciągłym napięciu nerwów, w ustawicznej trwodze, w osłupieniu na widok tego, co się obok nich działo. Zresztą trucizna przenikała wszędzie. Nikt nie był pewny swego brata, przyjaciela, ni sąsiada, czy on właśnie nie padł ofiarą tej „mózgowej dżumy“. Nikt nie był pewien, czy żona, siostra i córka jego dotychczas najnormalniejsza w świecie i idąca prostą drogą nie odda się na ulicy rzeźmieszkom i rozpustnikom, nie utonie w kałuży plugawych bezceństw, nie stoczy się do rynsztoku zboczeń, homoseksualizmu i orgjastycznych wybryków.

(Ciąg dalszy nastąpi).